Gwozdzinski_Zbigniew_AW_I_0232

Gwozdzinski_Zbigniew_AW_I_0232_1A [00:00:00, od początku]

Zbigniew Gwodździński: Nazywam się Gwoździński Zbigniew, syn Konstantego, urodzony na Litwie w miejscowości Januszewicze, powiat Kowno. W rodzinie ojciec był gospodarzem, takim prostym. Rodzice posiadali 71 hektarów ziemi. W 1943 roku ojca Niemcy wywieźli do Rzeszy. Ojciec wrócił po wojnie do Polski, ponieważ żeby wrócił by to na Litwę, to byłby deportowany jeszcze dalej. My zostaliśmy w 1946 roku zaczęliśmy pracować na swoim gospodarstwie, robiliśmy jak czarne woły i wszystko musieliśmy oddać.

Stanisław Sianko: Po prostu.

ZG: Nie, do państwa podatki różne. Do końca potem przyszli, całą komisją opisali to wszystko, zadali taki kołacki podatek zadali, ale to nie było wypłacalne, więc wszystko spisali i znacjonalizowali. Kazali pilnować jeszcze to aż przyjadą i porozbierają to wszystko.

SS: Gdzie ojciec w Polsce się uczył?

ZG: W Polsce najpierw w koszalińskim, potem przyjechał tutaj w Białymstoku, w Rogowie był.

SS: A pan był z mamą.

ZG: W domu tak, i siostra była, brat był. Zaczęliśmy pracować na tym gospodarstwie, pracowaliśmy, wszystko oddawaliśmy, potem przyszli za to wszystko zabrali za tę pracę. I w 1948 roku to było wszystko spisane i w 1948 przyjechali wywozić, tylko że my uciekliśmy. Ktoś tam powiadomił. Potem uciekliśmy do Kowna, do miasta do kuzynów, ale w 1949 roku na drugi dzień wielkiej nocy pojechaliśmy do swojej wioski do kuzynów i tam ktoś musiał podpatrzeć. I zameldował i wieczorem przyjechali i aresztowali. Gdzieś przed przybyciem tych NKWD-zistów brat wyszedł do następnego sąsiada i został. A mnie wywieźli, potrzymali, popytali.

SS: Samego?

ZG: Samego. Bo matka z siostrą były w Kownie, w mieście. I potrzymali mnie parę dni, potem wywieźli do Szaulei. Był obóz taki, taki zborczy, czy jak tam nazywać i tam już wyładowali do wagonu i 16 dni i nocy jechaliśmy aż do Usoi Sybirskoi, to 75 km od Jerkucka. Do obozu. Ale na kilka dni, my zaraz zorganizowaliśmy takich młodych, żeby

gdziekolwiek stąd wyjechać do roboty. I jakiś znalazł się taki nasz komendant, kapitan Żyd. Mówi, żeby zorganizować tam 70 osób, takich bez tych tobołków, że polecimy gdzieś dalej, że to w obozie, to nie tu, tu 25 lat siedzą w obozie ci więźniowie i przez kilka dni zabraliśmy i wyjechaliśmy i tam zaczęliśmy pracować. Nad nami pieczę prowadziła komendatura NKWD. Traktowali nas dobrze. Najpierw musieliśmy co tydzień, później co dwa, co miesiąc meldować się, podpisywać listę, a potem to zniknęło. Pracowaliśmy normalnie, ile zarabialiśmy, tyle mogliśmy jeść i pić, bo to młodzież takie wszystko. No i względnie było.

SS: Przy czym pan pracował?

ZG: Przy różnych robotach. Najpierw w kopalni złota pracowałem 2 miesiące, tam mnie nie pasowało i pojechaliśmy w tajgę, znaczy do tej, ekspedycji, poszukiwania złota. I tam 5 lat, ja już tam, prawie i zakończyło. A tam nieźle było. I pujmajstrem, najpierw i pomocnikiem, potem purmajstrem. I nawet byłem nagrodzony przechodnim sztandarem z czterema łbami. Marks, Engels, Lenin, Stalin. Jak dziś pamiętam cztery takie te barany.

[00:05:00]

Oszukiwaliśmy trochę, bo ja wiem słabo sprawdzali nas, czy coś takiego, zarabialiśmy nieźle. Na chleb wydawaliśmy jakieś 700 rubli miesięcznie, na żarcie. Żarcie było. A resztę na paliwo, przywozili beczkami. I tak nic nie mogliśmy kupić, żeby jakieś ubrania czy co, w takich roboczych ubraniach jak tu gdzieś zdjęcie było. No i tak od, tygodnie leciały, patrzeć już niedziela. Jak niedziela trzeba już iść do sklepu z czajnikiem, bo butelek nie było. No i zalewaliśmy ten sojusz. Nieruszymych republik swobodnych. A potem jakoś w 1955 roku, na wiosnę przyszedł komendant, wiedział, że jestem Polakiem i mówi: *może chcesz do Polski jechać?* No i zrobił, napisał jakiś wniosek, dał mi, on sam nawet zdjęcie zrobił, z pracy przyszedłem cały brudny. Ja nie nigdy nie liczyłem, że ja wrócę. Tam nie było już mowy. Ale przyszło, że wzywa komendant Jermieniow Saszka, starszy lejtnant. Mówi: *Gwoździński rzucaj robotę jedziesz do Polszy.*

SS: Jak się nazywa?

ZG: Jermienow Aleksander. Starszy lejtnant, LWD. Swój człowiek taki. No i zaczęliśmy wybierać się, tylko, że nie mogłem rozliczyć się, bo to szybko trwało, bo to samolot był podstawiony, bo dwa i pół dnia, a to tego nie ma, a to tego nie ma, żeby rozliczyć się. Bez pieniędzy normalnie prawie, że wyjechałbym, ale przyjechaliśmy do miasta Bodajbo, do rejonu. I nam komendant rejonowy, taki major, my poskarżyliśmy się jemu, że my nie

mogliśmy rozliczyć się, że my nie mamy pieniędzy. Tam chłopcy mieli, oni mniej trochę pozwalali. Mówi: *Ja wam cichutko na ucho powiem. Idźcie wy do prokuratora. Mieszka dalej tam, on powinien poradzić coś.* My wieczorem, godzina 09.00 zachodzimy do prokuratora Lewin, prokurator. Przyjął nas i mówi: *jutro chłopcy rano wstawajcie o godzinie 08.00 do kasy, wszystkie pieniądze wam wypłacą. Nie wolno, żeby bo wy nas przeklinalibyście.* Prokurator, Żyd był Lewin. No i potem dostaliśmy rano te pieniądze, wszystko naliczone było ponad 3000 rubli ja dostałem. Ale ja bałem się, że będzie zimno w samolocie, to był listopad już. To mnie już załadowali na samolot i ja już nie w stanie byłem. No *(niezrozumiałe).* No i przyjechaliśmy do Jerkucka, tutaj już cały transport stał, jeszcze do Polski jechać na każdym wagonie napisane: *wagon dla demokrata*. W Jerkucku. No i zewsząd tam, ze wszystkich stron przyjeżdżali i tam kilka dni nas, karmili dobrze nawet. Potem jeszcze taka ciekawostka. Komendant powiedział, że jadąc, że jak polecicie do Jerkucka weźcie na drogę choć kilogram masła, 2 kg cukru, no bo tak brzydko wyraził się, że w sajuzie nie dostaniecie. A my cukru tam mieliśmy o tyle. Tam w tajgach, tam specjalny był taki rejon, że wszystko można było dostać, kupić i zarobić jeszcze można było. No i my kupiliśmy tam chyba kilogram cukru, może pół, ale cały czas nas karmili. I po drodze karmili, wstawaliśmy, wychodziliśmy do restauracji, przynosiliśmy do wagonu żarcie, wiadro zupy tam, sera, wędliny. No i znowu jechaliśmy przez kilka dni, już wagony były sypialne, już mumy nas nie zajadali tak jak przedtem. O prawie cały czas te pieniążki, co je dostałem te ponad 3000 rubli my w monopolu sowieckim zostawiliśmy. 80 rubli zdałem na granicy. 80 zł dostałem w 1955 w Giżycku, a potem dali po 2000 nam takiej zapomogi i zagnaliśmy ja napisałem telegram do ojca, do Białegostoku i ojciec przyjechał mnie zabrał.

[00:10:12]

Potem ja z ojcem, my trochę tak prywatnie pracowaliśmy, potem zacząłem pracować w 1957 roku w szpitalu w Choroście. I aż do 1990 roku przepracowałem i jestem teraz na emeryturze.

SS: A dlaczego pana wywieźli stamtąd?

ZG: Aha, tego nie było jeszcze. Kułacki syn, rodzina kułacka, bo to i dzieci i wnuki przesiąknięte. Po Stalin kiedyś, jeżeli ktoś tam podpadł, to tam i wujków i ciotki wszystkie mordowali. To jeżeli ojciec i matka mieli tą ziemię to i ja też byłem kułak. A my tam biedę na tej ziemi cierpieliśmy. Bo to małe jeszcze, ile ja miałem 16 lat 14 hektarów ziemi trzeba było obrabiać. I wszystko oddać. Bo ta robota była tam pożal się Boże. Jako kułaka.

SS: I jako młody człowiek.

ZG: I młodych ludzi, bo to był taki początek kolektywizacji na Litwie. Bo oni trochę sparzyli się sowiety w jakich tam latach na zachodniej Ukrainie tam zaczęli przeprowadzać kolektywizację, to straszne tam bójki były, partyzanci palili te kołchozy, te zboże palili, stodoły i oni strasznie sparzyli się. To oni tutaj powywozili tych Litwinów, żeby spokojnie przeprowadzić kolektywizację powszechną. I potem nie było takich słuchów, żeby gdzieś tam. Może i jednostki gdzieś tam wyskakiwały z lasu, partyzanci. Jeszcze za moich czasów, jeszcze jak byłem w domu, to słychać było, że chudzi z lasu przychodzili, tam różne tarkowali pośladki i solili, żeby to nie popsuło się tam, żeby do partii nie zapisywali się. I znowu uciekali, tam włosy strzygli, żeby… Nie współpracowali by z Sowietami, a było różnych. Tak jak i w Polsce tak i na Litwie.

SS: Rodzina, mama, siostra, brat.

ZG: Mama już nie żyje. Ojciec nie żyje. Siostra…

SS: W Augustowie.

ZG: Tam zostali. Ale potem w 1957 roku my sprowadziliśmy do Polski, wszyscy przyjechali.

SS: Przymusowo.

ZG: Tak. A brat w 1956 roku, bo 1950 ja wróciłem do Polski, a brat w 1956 wrócił z wojska i popracował miesiąc czy dwa i ja 19 grudnia przyjechałem do Białegostoku, a on 19 stycznia wyszedł do domu i do dzisiaj nie wrócił. Dwa lata młodszy ode mnie. I szukali wszędzie, przepadł, zginął.

SS: Tam w Rosji?

ZG: Na Litwie.

SS: Jak wyszedł z wojska?

ZG: Z wojska, tak. Bo służył w wojsku, specjalnie był w wojsku tam, on gdzieś tam służył, że tam broń produkowali, zakazane był opowiadać, on lubił wypić, może coś nagadał. Trudno powiedzieć. Albo jakieś żuliki po prostu wtedy w styczniu Niemen płynął, może gdzieś do wody wrzucili, czy co. Do dzisiaj ja przez Czerwony Krzyż sowiecki i międzynarodowy poszukiwałem nigdzie nic.

SS: Młodszy.

ZG: Młodszy, 2 lata młodszy.

SS: Żadnego śladu?

ZG: Żadnego śladu, po roku czasu władza milicja zażądali dokumentów, żeby przynieść. Po roku czasu. I nic nigdzie żadnych śladów. Nie odezwał się.

SS: *(nz).*

ZG: Nie, nie. I tu przyjechałem też, wołali kilka razy na komisję tam i książeczkę wojskową dawali i dawali tą mobilizacyjną kartę taką. I raz zaśmiałem się, mówię: *Skurczesyny nie mają gdzie wsadzić.* Bo to już było 27-28 lat. Mówię mama, ale 5 lat miałem takie urlopu, czy coś po Syberii, to kiedyś nazywał się *(nz).* I potem zaliczyli do rezerwy i nigdzie na przeszkolenie żadne. Wojsko odbyte zostało w Sowietach, w kopalni, albo w tajgach między niedźwiedziami.

[00:15:02]

SS: *(nz).*

ZG: Nie. My nie mieliśmy żadnych dokumentów. Było tylko, wydawali nam sprawka z miesta raboty, czyli zaświadczenie z pracy. Gdziekolwiek chcę pojechać czy coś takiego, tam kontrolowali, bo każdy zobowiązany był pracować, ale dokumentów żadnych dosłownie, żadnych, my jechaliśmy bez dokumentów. Tylko władza mieli dokumenty i tam te dokumenty przekazali władzom polskim i pierwszy dokument, to była karta repatriacyjna. Ja nie miałem jeszcze aktu urodzenia, metryki, to musiałem wyrabiać na podstawie świadków, tutaj w powiatowej radzie na Warszawskiej kiedyś. Nic, żadnych dokumentów, nikt nie zmuszał, do partii namawiali. Ja byłem wyszczekany, po rosyjsku dobrze rozmawiałem. Do milicji namawiali, żeby wstąpić i pracować, że będzie lżej. Ale ja nie mogłem tego robić, bo ja tam zajechałem pod przymusem. A mogłem być sabaką i gryźć ludzi, ale nie ten gatunek.

SS: *(nz).*

ZG: Kilkanaście. Za moim w tej chałupce w siedmiu wsiadamy i to obyli Ormianin, Azerbejdżan, Gruzin, Tatar, Uzbeki, Kirgizy, z kilku republik jedną butelkę wódki piliśmy.

SS: Wszyscy po rosyjsku?

ZG: Po rosyjsku rozmawiali. Tu łamanym, brzydkim językiem takim. I Łotysze byli, Estończycy, Niemcy byli, nawet jednego Niemca my żeniliśmy z Litwinką. Gustaw Szwandt nazywał się. To wesele zrobiliśmy nie z tej ziemi, my koledzy. Taki fajny chłopiec był. On tutaj gdzieś był na zdjęciu.

SS: To był jeniec czy z nadodrzański?

ZG: Nie mogę powiedzieć, on był gdzieś w obozie na Północy tam gdzieś za kołem polarnym. Mówił, że kartofli wiadro kartofli naraz zjadł gdzieś tam dopadł, po jednej dzielił te kartofle całe wiadro na kilka razy, żeby było i patrzy puste wiadro już. Chudy taki był, po litewsku rozmawiał. Może jakiś litewski Niemiec. Ale on w obozach, w łagrach był tam. I było chyba resztę przewiezione na zesłanie, takie jak Olizorowicz. On też był w obozach, a potem jeszcze tego zesłańca musiał.

SS: Niech Pan opisze warunki tamtejsze.

ZG: Latem pogoda była względna taka, tylko może dzika. Względna, ale dzika. Rano trzeba iść watowe spodnie nakładać i watówki. O 14.00 wracamy z pracy. W jednych spodenkach to wszystko, bo było gorąco. Do 30 stopni ciepła latem, mniej więcej lipiec, pół sierpnia. Półtora miesiąca. No i we wrześniu, na początku września, gdzieś 15-tego, przymrozki piętnastostopniowe. W dzień jeszcze ciepło, ale już rano przymrozki. No i zima jak rozpocznie się od połowy października, to i prawie cały maj. I w roku 1963 dochodziło do… Nie, 1952. 1953 roku do 63 stopni mrozu raz trzymało. Do 50 stopni pracowaliśmy na zewnątrz, po pięćdziesięciu 50 procent płacili nam stawki za szeregowanie i siedzieliśmy w domu po dwa, po trzy tygodnie. Powyżej 50 cały czas trzyma. Bo to na zewnątrz robota w lasach, na polach, na rzekach. Warunki w sklepie było wszystko. Sklep ten w tajdze był lepiej zaopatrzony w latach 1952-1953 lepiej niż białostockie delikatesy. Ja przyjechałem i widziałem tutaj. Tu specjalny był rejon, bo tam nikt nie przyjeżdżał, tylko byli przywiezione, w związku kogoś zwerbowali, to uciekali ludzie. Ciężkie takie niby te, ale przyzwyczailiśmy się.

[00:20:01]

Czasami wychodzimy rano do roboty, ponad 50 stopni, my nie odczuwamy tego nic. Czasami noc pobieleje. Tutaj twarde porobią się policzki, ale zaczynamy pracować, robota idzie jak cholera. Tylko nas wyganiali, nie wolno było pracować po pięćdziesiątce już stopni. Można

coś rozmrozić, bo to były silniki te szwedzkie takie benzynowe. My chłodnicą rozmrażaliśmy. I robota i czas leciał jak cholera. Tydzień nie wiadomo kiedy przeleciał.

SS: Ile godzin dziennie pracowaliście?

ZG: 8 godzin. Z wyjściem i przyjściem do domu, to nam po 6 godzin wychodziło mniej więcej, ale pisało się 8 godzin. I niedziele wolne, święta Boże Narodzenie i Wielkanoc odpracowywaliśmy. Mieliśmy wolne za zgodą komendantury. I nawet sam komendant na Boże Narodzenie do nas przyjeżdżał. Ludzki człowiek był.

SS: Dużo was tam było w sumie?

ZG: Kilkanaście tysięcy właściwie w tym rejonie. Trudno powiedzieć, bo to spory rejon.

SS: Pan był w licznej grupie?

ZG: Nas było Litwinów, tam było w ogóle w ekspedycji ponad 400 osób. Ekspedycje, Marakan. To Litwinów może dwadzieścia kilka było. I też pracowali, bo to trochę takie nie takie byli rozwydrzone Litwini. Dobrze pracowali, starali się, dobrze zarabiali. Po sowiety to oni oszukiwali, wódkę pili w czasie pracy i zwalniali, Wołcza te bilety dawali. No Litwini trzymali się jednak i dobrze zarabiali.

SS: Pan tam był jako Litwin, czy Polak?

ZG: Polak. Bo panem nazywali, nawet naczelnik tej ekspedycji: pan Gwoździński nazywał się. Bo po polsku z nikim nie rozmawiałem, jedna niby tam była taka, niby Polka, ale ona wstydziła się, koleżanki dowiedzą się, że ona po polsku rozmawia. A ja nie miałem żadnych kłopotów. I w zgodzie żyliśmy z Litwinami, nie tak jak dzisiaj w Wilnie tam mają kłopoty. Może z Rosjanami trochę lepiej żyliśmy, jako naród rosyjski bardzo dobry. Czasami my trochę za dużo pozwolimy, bo Litwini nie pożyczą pieniędzy, a pójdziemy do Rosjan, to pożyczą do pierwszego. Ale zawsze staraliśmy się oddać.

SS: Czy wasze pobory były wyższe niż w europejskiej części związku radzieckiego? Więcej wam płacili?

ZG: Trudno powiedzieć, to trudno powiedzieć. Bo my nie wiedzieliśmy ile w tym związku radzieckim zarabiali. U nas zarabiali starzy górnicy, już tacy wysłużeni do 6000 rubli. Ale werbowali ludzi spod Moskwy, tam przyjeżdżali zwerbowani tacy, to mówił, że on zarabiał 1300-1200 rubli, a jemu obiecali do 6000 zapłacić. Ale nowy człowiek przyjeżdża, takie

oszukaństwo było, on tej pracy nie mógł znaleźć, takiej prawdziwej, tu zarabiał tak samo 1200. Miał troje dzieci, nie pracowała jego żonka, jemu potrącali 50 procent, on potem zaczynał pić i nie mógł nawet wrócić do domu. I robili z ludzi dziadów. A my śmieliśmy się z tego. Mówimy: *Dobrze wam, werbowszczyki wy przyjechaliście na takie długie ruble.* A my zarabialiśmy do trzech, trzy i pół tysiąca rubli zarabiałem. A na jedzenie o tak, można było jeść. 700 rubli, worek cukru mogłem iść do sklepu brać worek cukru, mam chęć na pół krowy mrożonej takiej w sklepie była, przywozili całe półki takie. Rozpiłują rozrąbią i można kupić. Masło łotewskie przywozili 25 kg takie, proszę bardzo 3-4 kg ile… Konserwy różne. Do 1953 roku amerykańskie swinaje tuszonki jedliśmy.

[00:25:03]

Te z czasów wojny. I taka konserwa we dwóch. Jak rozgrzejemy, potem suszonej cebuli, no i we dwóch zjemy i ta butelka spirytusu poleci nie wiadomo gdzie. Suszona kapusta, suszone jajka, cebula, buraki suszone czerwone, te na barszcz, kartofle suszone.

SS: To wszystko wam przywożono.

ZG: Przywozili, w sklepie było.

SS: Tam nie było rolnictwa.

ZG: Prawie, że nie było. Tam trochę pomidory, kartofle gdzieniegdzie, ale to już straszne, za kartofle płaciliśmy jak za złoto. A suszone mieliśmy i dobre w takich brykietach jak tu sprzedają te wafle, to tam takie kartofle sprzedawali. Zagotuje się wodę na parze, raz dwa i sobie puree wychodzi jak cholera.

SS: A praktyki religijne było coś takiego?

ZG: Żadnych, nic. Ani cerkwi nie było tam, nawet w tym rejonie chyba cerkwi też nie było. Bo nie słyszałem, żeby tam jakiś pop był czy coś takiego. Już nie mówiąc o Litwinach, czy Polakach. Nic. Kto żenił się, to tam do sielsowietu, tam zapisywali tak, nie było żadnych. Nie trafiało się, żeby ksiądz jakiś był, czy coś.

G: Jak jechałeś.

ZG: Ano, jechaliśmy, no zamknięte w bydlęcych wagonach, podchodziliśmy do okienka zakratowanego, żeby powietrza złapać. Potem mieliśmy taką ubikację, taki kawałek dziurki, a tu dookoła ludzi pełno, nawet na tej dziurze. – *To posuń się, ja muszę siusiu zrobić.* Wszy

zajadały nie z tej ziemi, miliony. Normalnie tak bierzesz, garść, tam nie było sposób, to my tak nazbieramy, i przez okienko na cały sojusz, poszły. No jeść dawali od czasu do czasu, pić nie dawali. Litwini śpiewali patriotyczne litewskie pieśni. Stukali karabinami, chodzili na tych przystankach, po dachach, ale co tam zabronisz im. Były wypadki, że ludzie uciekali, mieli piły niektórzy, ściany wypiłowali w tych wagonach i uciekali. I zabitych było kilka. W wagonach umierali i rodzili się. Dwa tygodnie. I dobre dwa tygodnie 16 dni. Ale zajechaliśmy tam już zaczęło luźniej, luźniej. I potem żyliśmy jak pany. Tylko może nie umieliśmy żyć, bo to młode. Nie było żadnej groźby, otwarte sklepy, potrzebny nam w niedzielę spirytus, idziemy do sklepowego. My bierzemy czajnik, 5 litrów spirytusu i później otworzymy. Byłem ja w komisji tej takiej przy sklepie, czasami jakieś rzeczy tam coś przywozili, dzielili, to już tam. No i dobrze było, spokój był, nie przychodzili, żadnych podatków nie trzeba było płacić. Chodziliśmy na głosowanie. Normalnie nawet raz wybraliśmy się, żeby pierwsze pójść na głosowanie, jakieś tam było do rady najwyższej, czy do tych posiłkowych sowietów. To była taka rozrywka.

SS: NKWD nie przychodziło?

ZG: My mieliśmy na kilkaset ludzi komendanta.

SS: NKWD.

ZG: Tak. Ale był swój człowiek, on z nami po prostu spółkę miał. On do mnie do tej chałupki przychodził i nocował i pił razem, do niego zachodziliśmy do komendatury. Raz pamiętam my zachodzimy do jego domu, ładnie wybielone wszystko, mówi: *chłopcy, idźcie, mam komisję z rejonu.* I mówi: *tam znajdziecie szampana, tam gdzieś w kredensie jakiś spirytus stoi. Wy sobie zrobicie tam.* Ale my już byliśmy trochę podpici. Dawaj roztwierać ten szampan, zaleliśmy cały sufit. Myśleliśmy, że on nas tam już coś zrobi. Nic.

[00:30:00]

Mówi*: Remont przeprowadzę i będzie choroszo.* Swój chłop był taki, to rzadko spotykane, żeby był taki NKWD-zista. I ten Saszka Jermienow, to ja całe życie będę pamiętać. Z Litwinami tak nie można było w zgodzie żyć, jak z tym komendantem.

SS: Rosjanin?

ZG: Rosjanin. Politykowaliśmy jak kto chciał, zagranicznego radia słuchaliśmy, bo tam bardzo dobrze było słychać, nie przeszkadzali. Waszyngton i po polsku i po litewsku. Tam

był, nazywaliśmy: prokuror Niedwied. A sojbata była. Takie bezprawie trochę. Ale nas nie oszukiwali, jeżeli ktoś gdzieś zobaczyliśmy, że zarobki jakieś mniejsze, czy coś, można było pójść sprawdzić. Pierunem zaraz, za parę godzin sprawdzili, wycenili i zaraz wypłacili do kasy. Czego w PRL-u trudno byłoby złapać tego.

Gwozdzinski_Zbigniew_AW_I_0232_1B

[00:00:00]

ZG: Złoto można było takie podnosić na złoto, znaleźć wziąć i pójść sprzedać. Były sklepy, skupowali złoto i płacili po 15 rubli za gram i tylko idąc do sklepu, ktoś złapałby to już sąd. Ale jak w sklepie zamykasz sobie drzwi i pan. I raz ja jak niosłem, to jeden człowiek całą walizkę pieniędzy wyniósł z tego sklepu. Normalnie zdał to złoto, i potem ładował te pieniądze do walizki. Tak jak u nas aktówki te czarne takie. Pewnego razu jedna Ukrainka znalazła, gdzie przyjmowali złoto kawałek 3800 gram. Strażnik…

SS: Prawie 4 kilo.

ZG: Tak, taki kawałek. Ale oblepiony był gliną i ona chciała jak kamień. On wyrzucić, a to ciężki, nieduży kawałek a ciężki. Ale strażnik podpatrzył, zameldował zaraz. I aresztowali. Ale rozpatrzyli potem byli kilka świadków i za te złoto dla niej zapłacili, puścili do domu z tej całej zsyłki. W nagrodę puścili do domu. Zapłacili 15 rubli za gram, a baba była w strachu, że już posadzą do więzienia. A ona nawet nie wiedziała, że to złoto. Po prostu na bok odrzuciła, tam ono obmyte i miejscami świeciło się. Bo to taki kawałek bryły, bo złoto ciężkie jest. Litr złota, stop 19,5 kg. Jaki tam kawałek był ten 3800.

SS: Gdzie wydobywano to złoto?

ZG: W kopalniach.

SS: Głęboko?

ZG: Do 40 metrów mniej więcej, no i wieczna zmarzlina była miejscami, nie wszędzie, to pod tym kopali chodniki takie. Niczym nie…

SS: Bez stempli.

ZG: Bez stempli. I to krótko trwało, kilka miesięcy i potem ludzie jak zaczynają chodzić już, oddychają i pomału zaczyna się sypać już. Zaczyna tajać jakoś tam. A tak zmarznięte. Potem

te dziury dłubaliśmy, też z wierzchu postawimy dwie rury, a potem jedziemy bez rur do 40 metrów. I to nazywa się wieczna zmarzlina. Potem dochodzimy czterdzieści kilka metrów do skały. Jak skała już woda zaczyna pokazywać się. To znaczy już ta zmarzlina wieczna kończy się, do skały. Bo to gruba warstwa mchu, po kilka metrów tego mchu, taka warstwa była i ten mróz trzymał. Od wieki wieków tam. Ale przez dłuższy czas jak ludzie tam zaczną chodzić, konie, renifery, to pomału już zaczyna wychodzić ta zmarzlina. No i transport był na reniferach przeważnie. Benzyna, drzewo, potem produkty z rejonu przywozili na reniferach. Północne te jelenie nazywali tam. Specjalnie ludzie byli, jeleniewode nazywali się. I on miał 5 par sań i on wiezie cztery beczki benzyny, czy tam jakiegoś byka wiezie. Albo jakieś skrzynki z produktami, wędlinę w beczkach przywozili, zalana tym tłuszczem. A smalec ekstra smarować na chleb jak cholera. No i zawsze w sklepie kilka gatunków wędliny musiało być.

SS: ***(nz).***

ZG: Nie, nie było. Tajga nie była eksploatowana. Czasami brali drzewo na opał, my sami chodziliśmy, gdzie chcieliśmy tam piłowaliśmy. Kto chciał budował bez żadnego zezwolenia, bez niczego. Tak dłużej trzeba byłoby mieszkać i można byłoby wybudować we własnym zakresie i bez żadnych nic, nie trzeba było ani kupować drzewa. W niedzielę można było konie dostać, takie konne dwory były, konie te przeważnie nieduże takie były, bo to bardzo dużo śniegu. Nasze konie by tam nie wytrzymały. Krowy jeden człowiek miał, całą zimę chodziły krowy na podwórku.

[00:05:05]

Ponad 50 stopni mrozu, i tylko była ogrodzona takimi żerdkami i daszek a tak wszystko otwarte i dwie krowy były takie. I z tych krów człowiek mógł utrzymać całą rodzinę. Bo to mleko było drogie. A tak suszone mleko, jajka suszone. To teraz u nas śmietana jest, a tam śmietany nie było suszonej.

SS: ***(nz).***

ZG: Nie, nie, nie. W razie zepsuje się maszyna, to wyganiali nas do lasu, żeby drzewo rąbać, na opał tam i do tych maszyn drzewo, bo trzeba było wodę grzać. Musiało być gorące. Pójdziemy do lasu, rozpalimy ognisko, posiedzimy kilka godzin, piszemy 15 metrów drzewa. Potem wozaki jeżdżą szukają, nigdzie nie nogą znaleźć tego drzewa, a tam zapłacą… Takie bajki, bajki. I żadnych trudności nie mieli. Czasami na nas narzekają, że jedna brygada i druga gdzieś byli na tej lesaróbce, rąbali drzewo i nigdzie wozaki nie mogą znaleźć, mówi: *trzeba*

szukać. A my weźmiemy wódki sobie do lasu, siedzimy, popijamy, nie piłujemy drzewa. Strasznie śniegu dużo, jeżeli czasem spiłujemy to, to takie pnie, to kto to będzie kopać się po 2 metry śniegu. Tam podejść nie można. O takie pnie długie zostawialiśmy. Jeszcze jedno, raz my świątkowaliśmy Wielkanoc, i za zgodą naszego kierownika cały tydzień po rosyjsku. To potem człowiek musiał nam pracę napisać, że coś robiliśmy, że my niby drzewo rąbaliśmy. Przyjechała komisja sprawdzać, nie znalazła tego drzewa i za to wszystko 7 lat więzienia dostał sowiet jeden. Ten kierownik nasz. A my pieniądze dostaliśmy i żadnych przykrości z tego nie mieliśmy.

SS: Czy tam śnieg jest inny niż u nas? Taki suchy bardziej.

ZG: Ja wiem. Jak porusza się śnieg, raz przejechać saniami, to po wierzchu potem można jechać, bo tak od razu koń lezie po tym śniegu, kopie się, potem on opada i mróz jak zamarznie, potem poruszamy ten śnieg to twardo po wierzchu można jechać. Tylko raz przejechać to trudno. I sanie były najczęściej, tak zwane *wałakuszy*, to znaczy dwie hołoble takie i ten poprzeczny, bo to z gór, przeważnie z gór ściągali i ciągnęli, końcówka położy na sanie. I tak po tym śniegu. A te konie przyzwyczajone były do tego śniegu, to takie jakieś mongolskie, czy coś takiego, nieduże takie, grube koniki. Z naszymi końmi tam nie nawoziłby nic.

SS: To tamten śnieg długo tajał w Rosji.

ZG: Szybko. Bo słońce mocno zaczyna smolić i pierunem tam, ja wiem parę tygodni i nie ma śniegu. Ale w miejscach takich nawet i całe lato leży śnieg. Czasami do pracy chodzimy, to widać coraz mniej, mniej, ale już zaczyna nowy śnieg padać. Koniec sierpnia i już nowy i zostaje. Lód taki, bo to grube. Tam rzeki nieduże takie górskie potoki, i zamarza, normalnie wymarza do dnia i potem pękają te lody i woda wylewa się. Rzeczka latem, można w pantofelkach przejść po tych kamieniach, a potem kilkumetrowe takie te rzeczki szerokości. Jak wiosnę jak rozleje się, to po półtora kilometra czasami bywa kupa lodu namarznięta. I na tym lodzie my pracowaliśmy. Rano wychodzimy do pracy, przychodzimy, bo to na rzece w gumowych butach. To cała zima. Woda, normalnie co dzień woda wylewa i wylewa, wymarznie do końca, ona tam spod lodu wybija, pęka straszna tafla, takie metrowe, półtora metrowe kawały lodu pękają i wylewa się woda. I strasznie potem, póki stopnieje ten lód, śnieg to szybko stopnieje. Ale lód to bywa, że całe lato topnieje i na zakwaske zostaje.

[00:10:02]

To kilka razy ja pilnowałem. Już lato kończy się i lód leży jeszcze. A tak ciepło było, można było opłacać się, komary, meszki te, było do cholery. Chodziliśmy na grzyby, na orzechy takie słonnikowe nazywali się. Czasami ogniska rozpalimy tam. No i potem mieliśmy te takie te ochraniacze jakieś tam jako do pszczół chodzą tutaj, to my tak do roboty czasami chodziliśmy.

SS: Przed komarami.

ZG: Komary, meszki. Nie, komary, a meszki jakieś. I to takie zajadłe cholery lezą w oczy, nie można obronić się. Smarowaliśmy się różnym świństwem tam, takie meszki były.

SS: Czy tam były jakieś stałe osady ludzkie, czy nie?

ZG: Stałe, nie było stałych takich. Były osady Jerkuckie, ale pojedyncze, to nie można nazwać osadami. Tam gdzieś chatka, Jerkuci mieszkali, tubylcy. Ale jak my przyjeżdżaliśmy, czyli cała ekspedycja posuwała się, to Jerkuty rzucali te swoje budki, zbużki nazywali się i wyjeżdżali dalej w tajgę. Że ruski człowiek nie choroszyi. I na nas narzekali.

SS: A czy mieli powody?

ZG: Ja wiem. Oni przyzwyczajone ryby łapać. Jelenie tam, te skóry wyprawiać. A tu już przychodzą, i tu już zaczynają wódki pić, i tam łupili tych Jerkutów. I takie bandziory byli, zabierali im te jelenie, to im chleb zabierali po prostu. Oni uciekali. I naród taki jerkucki dobry był. Ze mną nawet jeden był taki Jerkut, pracował on przez kilka chyba miesięcy. Ale on w wojsku był. Ranny był, ale taki jakiś nie za bardzo. Pamiętam, jemu daję klucz, taki 75 kilogramowy i weź mówię – Kolka to 12 metrów do góry po takiej tej, przy maszynie, tej łyżce, żeby coś tam zakręcił. On bierze i lezie. Przecież jego tylko wziąć i podnieść na miejsce, a tu jest kawał wagi. On lezie, takie nierozgarnięte. Jerkut.

SS: Nazwiska.

ZG: Mój wujek: Ejczon Józef. Był w obozie i potem został zamordowany w Katyniu. Jest w dokumentach katyńskich. A drugi wujek, będąc na Litwie w obozie w Prowiniszkach, czy w Kołotowie, nie pamiętam. Potem wyjechał do Anglii i stamtąd wrócił już. W Warszawie mieszkał, teraz już nie żyje. Ja tutaj starałem się te książki znaleźć angielskie wydanie było w dwóch tomach takie było Katynia. Pisze Ejczon Józef jak koń. Oficer sztabowy, kapitan tam czy major.

Raz przydarzyło się, sąsiad zawołał na drugi dzień Nowego Roku, ćwiartkę postawił: *Chodźcie chłopcy, mam poprawić się*. I nasmażył mięsa, okazało się, że to był pies. No i wziąłem wypiłem i chciałem tego zagryźć, i te łyżkę mlęłem, ładnie z cebulkami zrobione, ledwie przełknąłem. I po dwóch tygodniach on powiedział, że mówił: *Ot, mówi Gwoździński, ty nie chciałeś sabaki jeść, ale ja ciebie nakarmiłem.* I jelenie, i niedźwiedzie jadłem, i białe zające tam północne, białe kuropatwy. Mój kolega Kirgiz miał dubeltówkę, chodził na polowanie, no i przynosił białe zające i białe kuropatwy północne. A latem zające szare normalnie. Tylko na zimę zmieniały kolor na biały. Tylko oczy takie jakieś szare.